

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWÉ MILIONY.

Tłum. z francuskiego **MARYA SEGENY.**

26

Markiza uwierzyła słowom męża i pomyślała z goryczą, że poprawa jego i powrót do poważniejszego życia nie trwał niestety długo. Ale poraz pierwszy w stosunku do markiza pani de Kermor myliła się.

Przybywszy do miejsca przeznaczenia, markiz co kilka dni wysyłał pocieszające wiadomości, podpisując je imieniem syna.

Markiza tego dnia siedziała w swoim ulubionym buduarze, zajęta, jak zwykle, jakąś robotą, przeznaczoną na cel dobroczynny, gdy wszedł służący, niosąc na tacy bilet wizytowy. Markiza zdziwiła się przyjemnie, przeczytawszy krótkie słowo: „Allan“, wydrukowane na bilecie.

— Proszę wpuścić natychmiast — rzekła powstając.

I pospieszyła witać gościa, którego spodziewała się ujrzyć w popielatej kurtce i butach, jakie nosił zazwyczaj. Allan, przeciwnie, ubrany był w czarny, wytworny garnitur, lśniąca lakierki, a w ręce trzymał sztywny filcowy kapelusz. Z głęboką czcią skłonił się przed markizą i z galanterią ucałował jej rękę.

Pani de Kermor, zadowolona z jego przybycia, kazała mu usiąść obok siebie na kanapie, odnosząc się do niego jak do dobrego i dawno nie widzianego przyjaciela domu. Wiedziała, że będzie mogła z nim mówić o synu i o ich wspólnej pracy kolonialnej.

— Jakąż miłą niespodziankę uczyniłeś mi pan! — rzekła serdecznie.

— Pani markiza zbyt łaskawa...

— Ma pan dla mnie wiadomości od Henryka, nieprawdaż? Taka jestem niespokojna. Pan wie, jak jeszcze był osłabiony wyjeżdżając z Paryża, porwany po prostu stąd przez pana.

— Musiałem tak robić. W interesach niema względności, a nasze rozwijają się doskonale.

— Ale zdrowie jego?

— Polepsza się z dniem każdym.

— Więc były dnie gorsze, nieprawdaż?

— Niech się pani uspokoi i nie wyobraża więcej, niż było. Henryka rzeczywiście zmęczyła podróż, ale teraz nie pozostało już z tego ani śladu. Pracuje z kolegami, oczekując przybycia inżynierów. Właściwie to odpoczynek, nie praca.

— Więc nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, może mi to pan zapewnić?

— Mogę potwierdzić słowem honoru i listami Henryka.

— Och! dziękuję panu! Umierałam już z niepokoju. Jakie to szczęście, że pan przybył.

Allan uśmiechnął się serdecznie.

— Pani markizie może niewiedomo, że tam za Oceanem mieliśmy niespodziewane odwiedziny.

Pani de Kermor spojrzała, nie rozumiejąc.

— Nie zgaduje pani?

— Nie, zaręczam panu.

— Pani markiza zapomina o panu de Kermor.

Markizę ogarnęło nagłe i głębokie wzruszenie. Jej smutne oczy zabłyśły żywą radością. Czyniła sobie w duchu wyrzuty, że nie zrozumiała wyjazdu męża i surowo go osądzała. Ta podróż jachtem była prawdą, ale za cel miała ich syna! Delikatność uczuć markiza zdziwiła ją przyjemnie. Ale nagle przypomniała sobie telegram, odebrany przez męża, odjazd jego nagły w chwili, kiedy zdawało się, że poważne sprawy giełdowe zatrzymują go tutaj i interesują żywo.

— Oszukano mnie! — pomyślała pod wpływem przecucia. — Dlatego mąż mój nie dawał o sobie żadnych wiadomości. Pojechał pielegnować Henryka, którego stan był zagrożony może śmiercią!

Przerażenie odmalowało się na jej twarzy! Teraz zgadywała wszystko!

Allan również zgadywał jej myśli, ale pomimo to uśmiechał się spokojnie.

— Henryk teraz jest zdrow zupełnie — pospieszył uspokoić markizę. — Ojciec jego przywiezie go tu niedługo wraz z milionami, które przez ten czas wyrosły. Kopalnie złota postarały się o to.

Markiza, już uspokojona cokolwiek, ale błada jeszcze od wzruszenia, odpowiedziała szybko:

— Wiem od męża, że kazał agentowi swojemu sprzedać akcje za bardzo wysoką cenę.

— Tak, przesłał ten rozkaz depeszą. To ja mu poddałem tę radę, widząc jej gwałtowną konieczność.

— Dziękuję panu. Zdaje się, że czas naglił?

— Ma pani słuszość.

— Mówił mi o tem pan Delrue, który w tym czasie otworzył bank na placu Giełdy. Był zaniepokojony i zrozpaczony.

— Naprawdę, pani markizo?

— Błagał mnie o wstrzymanie tej masowej sprzedaży, która według jego zdania obniży wartość kursu i mogła go doprowadzić do ruiny.

— Kursu bez tego spadłoby również. Przypuszczam, że pani nie uczyniła tego, co ten pan żądał?

— Nie widziałam potrzeby mieszania się w tę sprawę. Dałam nawet do zrozumienia panu Delrue, że obowiązkiem moim jest posłuchać rozkazu mojego męża i że jego interwencja w tym kierunku jest co najmniej dziwna i nie bardzo uczciwa względem nieobecnego markiza.

— Więc to tak było? — rzekł Allan, marszcząc brwi. — Będę teraz miał sposobność rozprawienia się z nim i to nie na żarty. Uczynię to jutro, mam nadzieję.

— Nie rozumiem pana, panie Allan — zawołała przestraszona markiza.

— Zaraz pani wytłumaczę. Dzisiejsza wizyta u pani markizy powodowana jest interesem. Udałem się do życzliwości pani z prośbą, aby zechciała łaskawie udzielić mi informacji, dotyczących się mojej krewnej, a pani niegdyś protegowanej Janiny le Brenn. A potem, pan Delrue będzie zmuszony pomimowoli wytłumaczyć się z niechęci swojej szkodliwej do mojej siostrzenicy. A dowodów na to będę żądał jasnych i pewnych.

— Janina le Brenn! Czy to możliwe?

— Tak, pani markizo, to pewne. Nazywam się Franciszek Allan le Brenn.

— Boże moi! co słyszę! Oh! gdyby pan mógł uratować to biedne dziecko!

— Po to przybyłem!

— Więc pan wie?

— Wiem i poruszę wszystko, aby przekonać się, o ile insynuacje pana Delrue są prawdziwe.

Zapadło chwilowe milczenie. Nadzieja radosna połączyła te dwie istoty, wzruszone tym samym niepokojem.

Markiza czekała z gorącą niecierpliwością na dalsze słowa Allana. Cóż on jej mógł powiedzieć jeszcze? Na jakich zasadach chciał wystąpić w roli obrońcy tej młodej dziewczyny?

Z wielką prostotą i szczerością Allan po chwili namysłu wtajemniczył panią de Kermor o porozumieniu się jego z jej mężem i synem. Mówił jej otwarcie o podejrzeniach swoich, oskarżających Andrzeja Delrue i o nadziei oswobodzenia Janiny le Brenn z pod ciężkiego zarzutu, jaki nałożył na nią rozmyślnie ten nędznik.

Markiza słuchała, nie mogąc wyjść ze zdziwienia.

— Ależ to straszne wszystko, co mi pan mówi, panie Allan — zawołała, kiedy umilkł. — Ten człowiek byłby naprawdę tak podłym, a odraza moja...

— Odraza pani! — wybuchnął gwałtownie Allan. — To jedno słowo ożywia moją nadzieję. Tak, pani markizo, odraza pani nie może być nieuzasadnioną! W zachowaniu się tego Delrue względem pana de Kermor i Henryka jest za wiele sprzeczności, za wiele niejasnych motywów. Jego upór w pogwałceniu mojej siostrzenicy nie jest powodowany przywiązaniem do waszej rodziny. Cel jego jest inny!

— Ależ to zbrodnia najokropniejsza, jakiej mógł się dopuścić ten człowiek. Zbrodnia podstępnie obmyślona!

— I szeroko opłacona, pani markizo. Wiadomem jest przecież pani, że wasz ubogi sekretarz założył bank, jako finansista obracający okazałymi dochodami i operuje na akcjach kopalni złota. Skąd pochodzą te pieniądze? kto mu ich użyczył?

— To prawda — szepnęła markiza. — Dowód ten jest jasny, a jednak nie śmiem jeszcze wierzyć w niego. To byłoby radosne i straszne dla mnie! Ten Delrue, którego mąż obdarował zaufaniem, a Henryk szczerą przyjaźnią. Ale ja, pomimo to, miałam co do tego człowieka dziwne przecucia i zaraz wyjaśnię je panu, drogi panie Allan. Ja tak kochałam zawsze naszą Janinę.

Naszą Janinę! Słowa te napętniły dumą i radością serce starego podróżnika. Gdyby to mogło być prawdą! Gdyby marzenie, które pieścił w sobie od pewnego czasu, mogło się stać rzeczywistością.

Markiza podeszła do stolika, na którym leżały porzucone albumy i jeden z nich wzięła do ręki. Usiadła następnie obok Allana i wskazała mu fotografię młodej dziewczyny, w narodowym, bretońskim ubraniu, w wielkim muszlinowym czepku skrzydlastym na jasnych włosach.

— To Janina — wymówiła markiza wzruszonym

głosem. — Widzi pan, że zachowałam o niej jak najlepsze wspomnienia, skoro nie pozbyłam się tej fotografii. Znałam ją taką, jaką tu jest, z tym wyrazem głębokiej prostoty i uczciwości!

— I taką ujrzę ją jeszcze pani, przysięgam — rzekł Allan z mocą. — Ale pani markiza musi mi w tem dopomóc. Najmniejsza wskazówka doprowadzić mnie może do celu.

— Jestem gotowa uczynić, co pan zechce — odpowiedziała markiza. — Ale czy nie mógłby pan przedewszystkiem zobaczyć się z Janiną i od niej zasięgnąć informacji?

— Nie, to chcę pozostawić na sam ostatek. Będzie to moja radość największa. Chcę najprzód z panem Delrue mieć do czynienia.

— Będzie kłamał, jeżeli jest winnym. Musi pan użyć wielkiej dyplomacji, żeby z nim dojść do końca.

— Dlatego też pragnę być dobrze poinformowanym, zanim go zobaczę. Niech pani pozwoli pójść za moją myślą; ręczę za dobry rezultat. Teraz pani markiza mi wskaże, gdzie się mam udać. Gdzie mieszkała Janina?

Markiza opowiedziała Allanowi poczynione kroki w celu odszukania swojej protegowanej, nieudane próby, w końcu dała mu do przeczytania list Janiny, pozostawiony na biurku w dzień jej odejścia.

— Ależ to najoczywistsze, że pod tem kryje się jakaś szatańska kombinacja — zawołał Allan z oburzeniem. Moja siostrzenica stała się ofiarą tego łajdaka, ale do jakiego stopnia? Muszę się dowiedzieć o tem, choćby do jutra.

— Do jutra — podjęła pani de Kermor. — Ależ pan tego w żadnym razie dokonać nie może.

— Myli się pani. Jutro, a może nawet dziś jeszcze! Przy pomocy dobrej woli i szybkiego automobilu można wiele zdziałać w krótkim czasie!

— I takim zacnem sercu, panie Allan.

— O! droga markizo, nie mówmy o tem. Moje jest ze stali tylko.

Pozegnany serdecznie przez panią de Kermor, Allan w kilka minut później opuścił pałacyk przy ulicy Reotie.

Allan działa.

Zdarza się niekiedy, że człowiek nawet o wybitnej kulturze, zajmujący w świecie poważne stanowisko, zmienia nagle usposobienie, charakter, zrywając z nawyknięciami i zasadami dawnego życia. Umysł pozornie pozostaje ten sam, imaginacja pracuje dalej żywa i olśniewająca, ale człowiek ten staje się innym, nerwowym, gwałtownym i nieobliczalnym. Dla tych, którzy go obserwować mogą, przedstawia ciekawy problem podwójnego istnienia.

Żyje z dnia na dzień fantastycznymi chimerami, unosi się, gorączkuje, aby znowu za pewien czas popaść w stan dawny, zrównoważony i normalny, aż do nastania nowego, coraz silniejszego objawu tego nienaturalnego stanu. Zajmuje się dalej fachem swoim, czy pracą umysłową z większym może jeszcze napływem energii i napięcia pozorowego, które zaczyna obudzać ciekawość otoczenia i niepokój o jego równowagę moralną.

Powodem tych gwałtownych zmian, widocznych w charakterze takich ludzi, jest choroba atakująca jeden tylko organ najżywotniejszy — mózg — i stąd te nagłe, nieobliczalne przemiany.

Lekarze w języku swoim nazwali ją: „postępowym paraliżem mózgu“.

Człowiek, dotknięty tą chorobą, żyje niekiedy długie lata, w ciągłej, szarpającej męce nerwów i myśli, przykry i niezrozumiały dla otoczenia i samego siebie, aż do nadejścia zupełnego uwiąznięcia tkanek mózgowych.

Sławny doktor Magnus de Villepré, który cieszył się dotąd silną, żelazną kompleksją fizyczną, zaczął objawiać, ku ogólnemu zdziwieniu przyjaciół swoich i kolegów dziwny niepokój nerwowy i rozstrój umysłowy.

Dawniej wesoły, żartobliwy, stawał się obecnie gburowatym, ponurym i zaczepnym. W tym czasie kilka jego nieudanych, głośnych operacji chirurgicznych zwróciło uwagę grona lekarskiego. Zaczęto baczniej śledzić jego pracę, podchwytywano recepty, na których przeznaczone dozy dochodziły nienormalnych rozmiarów, jednakże przez wzgląd na poważne stanowisko, jakie zajmował w świecie naukowym i długoletnią jego wzorową praktykę — nie śmiano wydać o nim ostatecznego, fatalnego orzeczenia.

Sądzono zresztą, że to przelotny objaw neurastenii wywołanej intensywną i wyczerpującą pracą.

(Dalszy ciąg nastąpi).